

Rozdział 2

Trzeci dzień totalnej i dobijającej beczynności. Beczynności w sprawie mafii Russo, bo w innej dziedzinie byłem na tyle aktywny, by doprowadzić mieszkanie do nieskazitelnego błysku w każdym kącie. Rozglądam się teraz po tych kilkudziesięciu metrach kwadratowych. Mógłbym pomyśleć, że tutaj, w środku, a nie za progiem, mieszka jednak całkiem inny gość. Gość, który ma na imię Tony, bo Chester, cholera, sam z siebie najpewniej nigdy nie zabrałby się do takich porządków.

Cmokam i splatam dłonie za karkiem.

A jednak. To Chester posprzątał. W swojej głowie też spróbował zrobić porządek, co skończyło się przepełnieniem kosza zgnicionymi puszkami po piwie.

W kuchni spowitej papierosowym dymem wymieszonym z odorem dorodnego chmielu godziłem się z twoim odejściem, Penny. Teraz jednak, gdy zerkam na ten przewalający się śmietnik, odbija mi się on fatalnym obrzydzeniem, ale nie przez zatrucie czy kaca, lecz przez świadomość myśli, które zrodziły się wtedy w mojej niebezpiecznie skonfliktowanej głowie.

Chciałem przestać dłużej zawodzić wszystkich, których znam. Chciałem się zapisać na śmierć i nie przeżywać kolejnego dnia okraszonego wyrzutami sumienia. Wiem, że mogłem to zrobić, bo już raz próbowałem w dniu, w którym Scarlett przestała nosić moje nazwisko i podarowaną obrączkę. Na szczęście, tak jak i wtedy, dzisiaj również poczułem zapach poranka. Bóg nadal nie chce Angela w swoich zastępach, więc mój plan skończył się śmierzącym wykwitem na kuchennych płytkach i pięknym snem o wściekłej twarzy McKinseya na tle powiewającej narodowej flagi.

Więcej grzechów nie pamiętam.

Pozostaje mi tylko westchnąć i sięgnąć w głąb szuflady po dyktafon.

– Czas na kolejny rozdział bostońskiego bagna. – Unoszę urządzenie na wysokość ust i zaczynam mówić: – Siedząc w fotelu, bujam nogą jak na razie bezużyteczny worek treningowy. Rytmicznie podrzucam i łapię

okrągły, lekki kawałek plastiku z wbudowaną elektroniką: podsłuch przygotowany dla Russo, moja cholernie ryzykowna przepustka do wolności. Swoją pracę mógłbym porównać do mozolnie wtaczanej pod górę śnieżnej kuli, która staje się coraz większa i cięższa. Im bliżej szczytu, tym trudniej jest o swobodny oddech, ale gdy już tam dotrę, spokojnie oprę plecy o ten wielki zlepek wysiłku i zdarzeń, po czym rozejrzę się po otaczającej mnie przestrzeni i pomyślę, że zejście z tej wysokości, czyli czekający proces, może być jeszcze trudniejsze. Nic, co wtoczyłem ze sobą na tę wysokość, tutaj nie pozostanie. Żadne krzywe spojrzenie, awantura, zapach krwi i moczu czy dźwięk przeładowywanej broni. Nawet zapach aloesu... Zabiorę to ze sobą, próbując przy stromym zejściu utrzymać ten ciężar na barkach, by nie zaczął się staczać z ogromną prędkością, powodując lawinę, która pogrzebie mnie żywcem. Wyczekiwana lekkość czeka mnie dopiero po drugiej stronie, ponownie u podnóża góry. Dopiero tam pożegnaję się ze wszystkim, co zebrałem podczas tej wyprawy. Zrzucę ciężar z barków i wezmę głęboki wdech. Spojrzę na rozciągającą się równinę i ruszę przed siebie. Górę trudu pozostawię za sobą, ale idąc, będę patrzył uważnie pod nogi, by niepostrzeżenie nie wpaść w jakies... cholerne i głębokie depresje.

To byłoby na tyle. Boli mnie głowa.

Spojrzawszy w lewo, ostatni raz odpycham stopą worek i pauzuję nagranie. Na ekranie MacBooka krzyczy połączenie z Biura. Skłamałbym, gdybym zaczął marudzić i mówić, że się z tego nie cieszę. Niecierpliwie od rana wyczekuję dalszych instrukcji, zjadając resztki paznokci u rąk, a jeśli mi ich braknie, to przysięgam, że z nerwów zacznę obgryzać te u stóp.

Podnoszę pilot z blatu i ściszam leżącego w telewizorze *Ricka i Morty'ego*, którzy starali się poprawić mi humor, od kiedy uniosłem szczypiące powieki. Dyktafon wsuwam w kieszeń dresów i odbieram połączenie.

Na pulpicie pojawia się Kellan. Nie uśmiecha się, nie wkurza, że znowu paraduję przed nim bez koszuli. Zasadniczo jego twarz nie wyraża żadnych emocji. Czy mam z tym jakiś problem? Od rozmowy z McKinseyem żadnego.

– Witam.

– Witam – odpowiadam bez nuty drżenia w głosie. Obiecałem sobie, że od teraz gniew czy agresja nie będzie w stanie mną zawładnąć.

– Moje pierwsze pytanie jest takie, czy uda nam się normalnie porozmawiać. Mam ci do przekazania parę ważnych kwestii i chciałbym, abyś w skupieniu i bez wybuchów mnie wysłuchał. Potrafisz się na to zebrać?

Rozmasowuję kark, po czym przyciągam do siebie fotel. Siadam i wpatruję się w skupieniu w kamerkę.

– Rób swoje.

Kellan chwilowo milczy, jakbym go zaskoczył. Pewnie myślał, że ruszę z atakiem za jego ostatnie zachowanie, ale nie zniżę się teraz do tego poziomu, by utwierdził się w przekonaniu, że jestem złą decyzją McKinseya. Ale mimo wszystko i tak zapamiętam mu to, co należy.

– To dobrze. – Rozluźnia się, sięgając po długopis, który zaczyna obracać w palcach. – Czy Caruso się z tobą kontaktował?

Przytakuję.

– Kiedy?

– Wczoraj o dziesiątej wieczorem. Skontaktował się ze mną po prawie trzech dniach od zdarzenia z Lannerem.

Kellan mruży oczy.

– W normalnej sytuacji dzwonił do ciebie kilka razy dziennie. To nie wygląda dobrze.

Wzruszam ramionami, przypominając sobie rozmowę z Marco okraszoną jego sarkastycznym humorem i szczerą troską wyrażoną w pytaniu, czy potrzebuję jeszcze czasu na żałobę, choć on sam nie ukrywa że, cytując: „Tony, no, do złotej kurewki, nie będę tutaj zwodził, ale jesteś mi potrzebny”. Po czym dodał, że on nadal wszystko rozumie i jeżeli chce jeszcze w samotności pocierpieć, to wystarczy słowo lub dwa słowa, ale muszę mieć na uwadze, że są sprawy Rodziny, które mają priorytet.

– Miałem z nim umowę, której dotrzymał. Jego milczenie w ostatnich dniach nie powinno być dla mnie zaskoczeniem.

– Nie powinno?

– Nie jest – poprawiam, zgarniając z biurka butelkę wody. Odkręcam i wypijam prawie do dna, co Kellan obserwuje. – Ale doprecyzuję. – Zakręcam i stawiam butelkę obok nogi. – To, że się nie odzywał, może wynikać z czegoś zupełnie innego, bo dał mi kilka dni na żałobę. Taki miły gest ze strony Rodziny.

– Ani on, ani nikt z pozostałych nie kontaktował się ze mną w tym czasie, więc trudno jest mi łączyć to zachowanie z tym, że zostałem zdemaskowany. Krótko mówiąc: nie mam co do tego pewności.

– Więc co wnioskujesz po rozmowie z Caruso?

– Nie mam podejrzeń, że Marco o czymkolwiek wie. Mówił zupełnie normalnie. Nie słyszałem grama zdenerwowania, a uwierz, że on słabo potrafi ukrywać wściekłość. Mówiłem McKinseyowi o tym, że Lanner nie widział mojej twarzy, a jedynie plecy i kaptur na głowie. Obstawiam więc, że nie zaprzętał sobie mną swojej. To już trzeci dzień i chcę wiedzieć, co dalej. Nie mogę siedzieć zamknięty w tym pudełku i odwracać głowy w lewo, w prawo, w tył – wskazuję dłonią kierunki – w przód i w górę, a tam z każdej strony ściana. Caruso chce się ze mną dzisiaj zobaczyć. Problem w tym, że nie wiem, co mam mu odpowiedzieć, gdy ponownie zadzwoni, bo z waszej strony nie otrzymałem żadnych instrukcji. Nie będę się jąkał przez słuchawkę i wymyślał głupot, że jeszcze się nie pozbierałem po śmierci kuzynki. W końcu zaczniesz mi zarzucać, że migam się od obowiązków.

– McKinsey zdecydował się nie ściągać cię z Bostonu.

– To już coś.

– Ogon zostaje. Masz jednak możliwość decydowania, gdzie jest ci potrzebny.

– To dobra decyzja. Oni nie są idiotami. W końcu zauważą, że ktoś ciągle się za mną wlecze. Czyli co? – Rozkładałam ręce. – Wracam do gry?

– Trafiłeś na Lannera jeden raz w ciągu czterech lat, ale jeżeli zaczął kręcić interesy z Russo, to masz jak w banku, że nadziejesz się na niego ponownie i drugim razem możesz nie mieć tyle szczęścia i refleksu. Tak że wracasz na ulicę, ale z pełną ostrożnością.

– Chciałbym wiedzieć, co ta gnida kombinuje. – Zaciskam pięść. – Mogę rzec, że podwójnie mi na tym zależy, ale wiem też,

że muszę się trzymać od niego z daleka, więc interesuje mnie kwestia tego, jak mam to robić. Nie jestem jasnowiedzem, nie zgadnę, gdzie i kiedy mogę się na niego nadziać.

– Wystąpiliśmy do sądu o zgodę na śledzenie lokalizacji Lannera i wgranie podsłuchu na jego telefon.

– I?

– I rozpatrujemy wyjście B.

Zaciskam wargi i wbijam wzrok w leżący obok paczki fajek mikropodsłuch przygotowany dla Russo. To było do przewidzenia, że sąd odrzuci wniosek. Stracony czas na wysyłanie papierów, bo przeciwko Lannerowi nie jest budowane oskarżenie. Jak na razie jest czysty. Nic na niego nie mamy. Gdyby tak łatwo można było wciskać każdemu podsłuch i inwigilować go na odległość, to ktoś taki jak Tony Angel i jemu podobni nie byłiby potrzebni. Niemniej jednak nie obraziłbym się, gdyby w tym przypadku sąd zrobił wyjątek. Wiedza o tym, gdzie doktorek przemieszcza dupę, jest dla mnie teraz priorytetem.

– Jesteś tu?

Unoszę brwi i wzrok ponownie na Kellana.

– Wybacz, zamyśliłem się. – Schylam się po wodę. – W takim razie co się kryje pod tajemniczym planem B? – pytam i opróżniam butelkę z kilku ostatnich łyków, po czym celuję nią do kosza.

Ona niestety burzy Kilimandżaro aluminiowych puszek i hałasując, ląduje wraz z nimi na podłodze, co nie umyka Kellanowi, bo wstrzymuje się właśnie od słowa i spogląda gdzieś za mnie.

– Sąd częściowo odrzucił wniosek – zaczyna po chwili objaśniać. – Dostaliśmy zgodę na uzyskiwanie informacji o lokalizacji, ale bez użycia aplikacji i urzędzeń szpiegujących, więc Lanner został objęty tylko obserwacją. Gdy zaistnieje możliwość, że możecie znaleźć się w tym samym miejscu i o tym samym czasie, zostaniesz od razu powiadomiony. – Splota palce i opiera na nich brodę. – I udam, że nie słyszałem tego wcześniejszego hałasu.

Udam, że niezwykle mnie to obchodzi.

– Ile możemy to ciągnąć? Tydzień, trzy tygodnie, miesiąc, góra pół roku? Zanim Lanner się zorientuje, że jest śledzony? To bieg

na krótki dystans, a mnie się wydaje, że bierzemy udział w sporym maratonie. Do mety nam jeszcze daleko.

– Dlatego istnieje jeszcze indywidualny plan C.

– A może cały alfabet planów? – ironizuję. – Co nim jest?

– Scarlett.

Wkładam mały palec do ucha i ruszam nim kilka razy. Chyba niedokładnie wytarłem uszy po porannej kąpieli, bo coś źle słyszę.

– Możesz powtórzyć? – pytam, ale Kellan, zamiast odpowiedzieć, ucieka wzrokiem od kamery. – Czekam – ponaglam.

– Istnieje plan, by włączyć do sprawy Scarlett jako pobocznego informatora, ale zanim wybuchniesz, pozwól, że zapoznam cię ze szczegółami i ostudz...

– Postradaliście, kurwa, rozum? – Klepię się w czoło. – Kto na to wpadł?

Kellan demonstracyjnie rzuca długopisem, gdy ja lada moment, a wylecę w powietrze!

– Ja.

– Mogłem się tego domyślić.

– Dasz mi dokończyć czy mam zniknąć i za jakiś czas poinformować cię o wykonaniu poleceń?

– Mów, ale bądź pewny, że na nic się nie zgodzę.

– Dlaczego?

Rozszerzam oczy i przybliżam twarz do kamery, by Kellan wyraźniej widział, że płonie mi z nerwów.

– Bo to moja była żona – cedzę. – Ale mimo to, tak jakoś mam, że troszcę się o jej bezpieczeństwo. Wystarczający argument, by być na nie?

– Spróbuję go odbić. Może to właśnie ta troska powinna skłonić cię do bycia jednak na tak?

– Puknij się, Kellan. O, tutaj. – Stukam palcem w skroń, po czym unoszę głowę w górę, bo gdy patrzę na Andrew, to moje serce ma ochotę rozerwać klatkę.

– Właśnie, usiądź i posłuchaj. Prokurator nie interesuje się Lannerem, ale według naszych podejrzeń facet bierze udział w przestępstwie gospodarczym. Przypomnij sobie nagrane przez siebie

rozmowy z domu Russo na temat cenowych spekulacji dotyczących części miejskich działek i ich sprzedaży w fikcyjnym przetargu ustawionemu inwestorowi. Wykwintna korupcja. Lanner oglądał wczoraj wykupiony teren i to on będzie stał za budową kliniki na brudnych papierach, co dla Scarlett z pewnością będzie bolesnym ciosem. Sądzę więc, że najlepszym dla niej wyjściem jest zacząć się oswajać z myślą, że jej ukochany mąż zamieni piętrową willę na ciasną celę, a ona, taplając się w tym bagnie, może zrobić jednak coś dobrego i pomóc swojemu eks ochronić tyłek. My mamy związane ręce w kwestii podsłuchu, ale ona? – Kończy monolog, którego wysłuchałem zamieniony w słup soli. – Ma wolną rękę, by śledzić męża.

Ogarnia mnie śmiech. No facet rozbawi mnie za chwilę do łez, ale i doprowadzi do skrajnej słownej agresji. Niech ktoś przykręci pode mną ogień, bo za chwilę wykipię!

– Argumentuj to sobie, jak tylko chcesz, ale powiedziałem: nie.

– Prześpisz się z tym i zmienisz zdanie.

– Nie zmienię. Nie przyszło ci do głowy, że Scarlett może nie pójść na współpracę? Lanner jest jej mężem i ma prawo odmówić, po czym może chcieć to wykorzystać i go ostrzec. To ryzyko! Nie wiem! – Wyrzucam ręce. – To poroniony pomysł. Prędzej brałbym pod uwagę to, że zechcecie jednak zgarnąć Lannera i przedstawić mu, ile zyska, gdy zacznie współpracować.

– To jest dopiero poroniony pomysł! – Unosi głos.

Zaczyna przestawać być miło.

– Lanner nie jest podejrzanym na podstawie twardych dowodów. Za co mielibyśmy go ściągnąć? W zamian za złagodzenie jakiego wyroku żądać współpracy? Pomysł.

Pstrykam palcami.

– Wyłudzał refinansowanie fikcyjnych operacji medycznych. Może warto do tej sprawy wrócić?

Kellan unosi brew. Widzę, że usilnie powstrzymuje uśmiech.

– Skąd o tym wiesz? To sprawa sprzed dziesięciu lat.

– Sprawdziłem go. – Chrząkam i drapię się w nos. – Ty byś nie był ciekawy, co za nowy fiut posuwa Cindy?

Kellan kręci głową z wyraźnym niezrozumieniem mojego stanowiska. Perfekcyjny mąż z perfekcyjną żoną.

– Nie, nie byłbym i nie znam za dobrze tej sprawy, ale wydaje mi się, że Lanner został oczyszczony z zarzutów.

– Miał przekupionych kilku ławników, jednego nazwiska nawet jestem pewien. Facet pracował na lotnisku Edwarda Logana w ekipie sprzątającej pokłady. Trzy tygodnie po zakończeniu procesu kupił sobie jacht wart dziewięćdziesiąt tysięcy dolców. Cudowne, bezkredytowe wzbogacenie. Kurwa... – Przewracam oczami. – Sprzedany ławnik, co za niespodzianka...

Zrywam się z fotela i wychodzę do kuchni. Szarpię za drzwi lodówki, skąd wydaję butelkę zimnej wody. Wracam z nią do pokoju i wlewam w siebie od razu połowę. Jestem tak poirytowany informacjami, którymi Kellan mnie częstuje, że chce mi się po prostu rzygać.

– Chester, przecież znasz Scarlett...

Odsysam usta od butelki i dźgam palcem w kamerkę.

– Zamknij się. Nie chcę już tego słuchać.

– Ale będziesz.

Spoglądam na Kellana, próbując opanować oddech. Może faktycznie niech powie, co ma do powiedzenia, i będę miał święty spokój. To tylko plan C.

– Byłeś ze Scarlett osiem lat, ja znam ją ponad dziesięć. Byliśmy cholernie dobrymi przyjaciółmi lubiącymi tanie fajki i rockowe koncerty.

Tak, pozytywne rzeczy, na zawsze utracone.

– Znała nas i nam ufała, więc gdy ty, jej eksmąż, ale i nadal federalny, wypunktujesz jej, jak źle wygląda sytuacja z jej mężem i z kim on robi interesy, nie będzie miała wątpliwości, że to nie są primaaprilisowe dowcipy. Dodatkowo Scarlett ma upragnioną córkę. Czy dziecko i jego bezpieczeństwo nie jest dla niej aby najważniejsze? Myślę, że sam znasz odpowiedź.

Pochylam się i opieram łokcie o kolana. Ukrywam twarz w dłoniach i zamykam oczy, próbując się choć na moment wyciszyć. Chciałbym, aby ten świat zniknął. Chciałbym cofnąć się w czasie o czternaście lat i nie zaśpiewać na tym koncercie dla trzydziestu osób jeszcze jednego numeru w dedykacji dla dziewczyny o zielonych oczach i wiśniowych

włosach. Nasza wspólna przyszłość może nie miałyby wtedy miejsca. Scarlett nie odeszłaby ode mnie i być może nigdy nie wpadłaby w objęcia Lannera. Nie darowałbym sobie, gdyby przytrafiło jej się coś złego.

– Miałbym ją do tego wszystkiego przekonać? – mamrocze przez palce.

– Tylko wtedy, gdy stanie się to koniecznością. Dzięki temu mógłbyś śledzić na bieżąco lokalizację Lannera.

Podrywam się z siedzenia i chwytam za głowę.

– Jezu Chryste, do czego ty chcesz, abym ją namawiał? Telefoniczne szpiegowanie geolokalizacji, nawet swojego męża, jest przestępstwem. – Macham dłonią do kamerki. – Przestępstwem, Kellan, dobrze o tym wiesz.

– A pobicie i kradzież?

Powoli wycofuję dłoń i robię krok w tył, gdy w pamięci pojawia się obraz mojego odbicia w lustrze, jak ścisnąłem w dłoniach naprężony pasek od spodni, którym dusiłem Petera. Powraca palące uczucie wstydu i zawodu, ale nie odpycham ich od siebie. To moja pokuta.

– Dziękuję, że się tym zająłeś.

– Proszę. – Kiwa głową. – Ale gdy wrócisz, nie zapomnij wyjąć ze skarbonki dwudziestu sześciu tysięcy dolców i przynieść ich na biurko McKinseya.

Spinam się. To tylko trochę mniej niż połowa mojego rocznego zarobku. Genialnie to rozegrałem, mogę sobie przypiąć do piersi order agenta roku. Peter pobił Giannę, ja interweniowałem, potem Andrew interweniował w mojej sprawie i koleś dostał najpewniej odszkodowanie, za które sam zapłacę. Brawo! Sam Monty Python by na to nie wpadł.

– Tyle sobie zażyczył za wycofanie oskarżenia?

– Chciał trzydzieści i posyłał nam przy tym ten szeroki i czerwony jak u klauna uśmiech, który mu zafundowałeś swoim paskiem, ale lekko mu się zmniejszył, gdy zapytałem go o wysokiego Meksykanina z tunelami w uszach, któremu wczoraj w południe sprzedał dwa kartony marlboro z kontrabandy. Peter to drobny cwaniaczek i karma do niego wróci, ale na ten moment sprawa jest zamknięta, Bennett. I nasz rozmowa o niej również.

Zamiatając wzrokiem podłogę, przytakuję i nie dopytuję o więcej. Uniknąłem fatalnych w skutkach konsekwencji, co nie oznacza, że w ogóle ich nie poniosę. Nie mam prawa nad sobą nie panować w okolicznościach, które nie wymagają użycia obrony koniecznej. To jest dyshonor dla mojej pracy, że jako doświadczony agent specjalny muszę sobie o tym teraz przypominać. To zależy tylko ode mnie, czy nad tym zapanuję. Czy zapanuję nad Tonym, a mój umysł starannie wytyczy granicę między popełnianiem przestępstwa a udawaniem, że się to robi. Niestety rysująca się linia jest bardzo cienka.

– Nie posłużę się Scarlett dla ułatwienia sobie pracy. – Wracam do tematu po chwili zamyślenia. – Nawet gdyby wyraziła na to zgodę, nie pozwolę, by narażała się na prawne konsekwencje swoich działań.

– A kto ci powiedział, że takie zaistnieją?

Marszczę brwi.

– Taki jest właśnie efekt, Chester, gdy nie potrafisz niczego wysłuchać do końca.

– Kajam się. Mów.

– Scarlett jest właścicielką dwóch toyot avensis, a jedną z nich jeździ Lanner.

Rozluźniam spięte mięśnie ud, tyłka i karku. Już wiem, do czego dąży.

– Wystarczy, że zamontuje lokalizatory GPS w kluczykach. Typowa ochrona własności przed kradzieżą, do czego Scarlett ma pełne prawo. Racja?

– Nie do końca. Nadal jest mały szkopuł, bo w posiadanie danych o lokalizacji auta oraz jego kierowcy ma wejść ktoś trzeci, w dodatku do tego nieuprawniony – wskazuję palcem na klatkę – czyli ja i w tym momencie wracamy do punktu wyjścia. To nadal przestępstwo.

– Niekoniecznie, to jest kwestia łatwa do obejścia... – Przerywa, gdy odwracam głowę w lewo i spoglądam na drzwi. – Spodziewasz się kogoś? – pyta, gdy ktoś ponownie nerwowo atakuje dzwonek.

To nie jest Marco, on wali pięścią w drzwi, więc kogo tu, do cholery, przyniosło?

– Wiesz, trudno stwierdzić i nie obchodzi mnie stopień trudności twojego planu – odpowiadam, podchodząc do łóżka po leżącą na nim

czarną koszulkę, którą po chwili naciągam na tors. Opieram się o biurko i pochylam do ekranu. Mówię znacznie ciszej, ale i znacznie szybciej. – GPS w kluczykach samochodu Scarlett jest jak kuchenny nóż, możesz go mieć do obrony, ale bez powodu nie wolno ci z nim za kimś biegać. Przykro mi, ale to nadal działanie, na które nie dostaliśmy zgody, a teraz kończę, robisz zamianę z AC/DC.

Rozłączam połączenie z Biurem i odpalam *Thunderstruck* z podręcznej playlisty.

– Już otwieram! – krzyczę, zgarniając z blatu broń, którą wciskam za pasek od strony pleców, i wracam do MacBooka.

Rozwijam okno z podglądem z kamery w wizjerze i klnę cicho, bo po alkoholowej nocy chyba wzrok zaczyna mnie mylić. Prostuję się i biorę trzy głębokie wdechy. Podchodzę do drzwi, przykładam do nich rozgrzany policzek i mrużę oko, spoglądając przez wizjer.

Nie, to jednak nie są żadne zwiady.

Dłonie zaczynają mi dygotać z emocji, bo to wyjątkowe zaskoczenie.

– Co ona tu robi? – pytam samego siebie jak idiota, po czym pospiesznie przekręcam zamek i otwieram drzwi.

– O mój Boże! – Marie zalewa się łzami. Upuszcza trzymaną w rękę torbę i rzuca mi się na szyję.

– Wooow! – komentuję, tracąc chwilowo równowagę.

Puszczam klamkę i łapię Marie w pasie.

– Tony! Tak się cieszę, że jesteś! – szlocha głośno.

– Też się cieszę. Dlaczego miałoby mnie nie być? – pytam, czując jej zimny nos i ciepły oddech tuż przy szyi, bo wspina się na czubki butów, by do niej dosięgnąć.

Marie, taka drobna i delikatna. Zupełnie jak ten motyl, o którym opowiadała w szpitalu.

– Bałam się o ciebie... – wyznaje, ściskając w dłoni materiał mojej koszulki. – Dlaczego, do cholery, nie odbierałeś tego pieprzonego telefonu?

Marszczę czoło i chwytam klamkę.

– Marie, wejdźmy do środka.

Podnosi głowę i przesuwając powoli dłonie na moją klatkę piersiową. Ma podkrążone oczy, a na powiekach resztki rozmazanego makijażu. Dużo płakała.

Co się, do diabła, stało tej dziewczynie?

– Jasne... – zgadza się ochryplym głosem, kiedy przepuszczam ją w prog.

Gdy mam już zamykać drzwi, zauważam, że zostawiła na podłodze torebkę. Podnoszę ją i rozglądam się po klatce schodowej.

Raczej przyszła tutaj sama, ale dlaczego tak zmartwiona?

Wchodzę do mieszkania i przekręcam zamek. Ledwie zdążam się odwrócić, a Marie ponownie do mnie dopada i obejmuje mocno w pasie, na koniec przykłada policzek do mojego serca, więc jej ucho rejestruje teraz zapewne coś na kształt biegu słonia. Wyczuwam też, że dotyka mojej broni, przez co mój instynkt obronny powinien wcisnąć teraz start, bym mógł ją obezwładnić i przycisnąć do ściany, ale tego nie robię. O sobie jestem spokojny, czego nie mogę powiedzieć o tej roztrzęsionej dziewczynie, którą trzymam w objęciach.

– Marie, wszystko jest już dobrze. Powiesz mi, co się stało? Bo coś na pewno.

Jej odpowiedź to tylko drżący oddech, wynik najpewniej powstrzymanego żalu. Opieram brodę o czubek jej głowy i zaczynam gładzić dłonią jej włosy. Nie wiem, czym pachną, ale chyba zimą i bostońskim wiatrem. Podoba mi się i to jest bardzo dziwne. Przecież od kilku lat nienawidzę wszystkiego, co związane z właśnie tą porą roku. Zamykam oczy i delikatnie nas bujam, spokojnie, czego nie mogę powiedzieć o moim sercu, które tańczy jak szalone. Ostatni raz czułem coś takiego, gdy przytulałem Scarlett. Choć nie... tamte doznania nie były aż tak intensywne, ewentualnie przy Marie po prostu już o nich... zapominam?

Otwieram oczy odurzony skokiem dopaminy i trzymając dłonie na jej ramionach, odsuwam Marie od siebie.

– Powiesz mi w końcu, o co chodzi?

Spogląda mi w oczy, wycierając dłonią wilgotny policzek.

– To Carlo – odpowiada, na co w myślach przeładowuję glocka. – Chodzi o Carlo.

– Jak to: o Carlo? Co się stało? – pytam opanowanym głosem i podchodzę do laptopa, by przyciszyć muzykę.

Wyjmuję zza paska broń, którą z pośpiechu zamiast w sejfie umieszczam w szufladzie biurka. To będzie najtrudniejsze kilka minut, gdy w końcu mi wyjaśni, co zaszło. Już samo „Carlo” drażni mojego wewnętrznego Hulka.

– Nie... Wszystko ci wyjaśnię. – Potrząsa głową, zdejmując puchaty szalik. – Przepraszam, że wpadłam bez zapowiedzi, ale naprawdę próbowałam się do ciebie dodzwonić. Mam nadzieję, że w niczym ci nie przeszkadzam?

– No coś ty... A co do telefonu to mam ostatnio kiepskie dni i po prostu większość czasu jestem niedostępny. – Uśmiecham się, rzucając spojrzeniem na czyściutkie mieszkanie. Dobrze, że posprzątałem. Inaczej paliłbym się w tym momencie ze wstydu. – To co z Carlo? I dlaczego płakałaś?

Marie przekazuje mi kurtkę, szalik i czapkę, które odwieszam na stojak, podczas gdy ona obciąga rękawy kremowego golfu i obejmuje się rękoma w pasie. Ścisza mnie na ten widok, bo nie istnieje nic gorszego niż przestraszona i płacząca kobieta.

Pociąga nosem i rozgląda się po mieszkaniu, po czym zatrzymuje wzrok na puszkach po piwie leżących wokoło kosza i w nim.

– Mówiłem, że mam słabe dni, ale zaraz to posprzątam – tłumaczę się z bałaganu, stając obok Marie. – Ale najpierw chodźmy do kuchni – proponuję, pocierając dłonią miejsce między jej łopatkami. – Zaparzę ci coś ciepłego, rozluźnisz się i może wtedy w końcu mi opowiesz, co dokładnie się stało.

Spogląda na mnie i wzięwszy głęboki wdech, głośno wypuszcza powietrze. Mam nadzieję, że to zwiastun nadchodzącej ulgi, a nie katastrofy.

– Zaraz ci wszystko wyjaśnię. A co do tego – kiwa brodą na pijacki śmietnik – to nie musisz się tłumaczyć. – Spogląda na mnie jak zbity psiak. – Mam gorsze dni od dwóch miesięcy, ale alkohol nie sprawił, że problemy znikły. Stały się może tylko mniej wyraźne? Jak to bywa po drinkach. – Wzrusza ramionami i wskazuje kciukiem w prawo. – Tam jest kuchnia?

Przytakuję i zapraszam ją gestem. Rusza przodem, związując długie włosy w kucyk.

Ta dziewczyna jest dla mnie chyba największą zagadką tutaj i jeżeli mam sposobność, by znów pobyć z nią sam na sam, postaram się dowiedzieć czegoś więcej, ale w pierwszej kolejności będą to rzeczy dotyczące sytuacji, która niewątpliwie ją spotkała.

O jakich problemach mówi?

– Kawa, sok malinowy, zielona herbata? – pytam, przeskakując wzrokiem po asortymencie.

Marie zajmuje miejsce przy stole i wbija spojrzenie w widok za oknem. Plac zabaw jest pusty, ale też nie do końca, bo wczoraj naliczyłem tam dziesięć ulepionych bałwanów. Zdałem sobie też sprawę, że za akcję z Peterem mógłbym zostać jedenastym.

– Herbatę – odpowiada po dłuższej chwili. – Carlo był pod moją uczelnią. Wracał z pogrzebu matki. Pokłóciłam się z nim – wyjaśnia zdawkowo, gdy przyrządzam napój. – Tony, ten bydlak ci groził. Powiedział, że jesteś martwy. Bałam się o ciebie. A jeszcze ten cholerny telefon, którego nie odbierałeś, doprowadzał mnie do szału!

Unoszę brwi, włączając mikrofalówkę.

Carlo przyprawia mnie o ból głowy, ale obiecałem sobie, że Tony nie przystawi mi zimnej lufy do skroni i go po prostu nie zastrzeli, co nie zmienia faktu, że właśnie to sobie wyobrażam. Wszystko wygląda fajnie oprócz widoku mózgowej papki, ale może nie byłoby tak źle, bo wątpię, że Carlo w ogóle ma mózg.

A jeśli chodzi o ciebie, Marie, to kolejny raz pokazujesz mi swoją szczerą troskę. Paskudnie bym skłamał, mówiąc, że nie robi mi się z tego powodu miło.

– Groził mi? Jest aż tak głupi?

– Tony, on ma mózg przeżarty dragami i nie można go lekceważyć. Jest zdolny do wszystkiego. A jednej okropnej rzeczy byłam nawet świadkiem.

– Marie, jego straszenie nie robi na mnie żadnego wrażenia, więc się tym nie zamartwiaj. Raz podskoczył i pożałował. Nic mi nie zrobi. Bardziej mnie interesuje, dlaczego ten frajer nachodzi cię pod szkołą i doprowadza do płaczu. To nie jest pierwszy raz, prawda?

Podrywa się z krzesła i staje naprzeciwko mnie, po czym układa dłonie na moich skrzyżowanych przedramionach. To przyjemne, bo jest tutaj jedyną osobą, której bliskość działa na mnie tak kojąco. Towarzyszy jej jedynie bolesna świadomość, że Marie nie wie, z kim tak naprawdę rozmawia.

Mam na imię Chester, słyszysz? Nie, nie słyszysz, bo rozmawiam z tobą tylko w swojej głowie. To jak list, który piszę tylko do szuflady.

– Jemu chodzi o ciebie, Tony, a raczej o...

– Marie, wiem – przerywam jej. – W takim razie dlaczego, jak na faceta przystało, nie przyjdzie rozwiązać problemu bezpośrednio do mnie? Odpowiem ci dlaczego. Bo to tchórz.

– Chodzi mu o nas, przerwałeś mi.

Wstrzymuję oddech i ignoruję każdy impuls wysyłany przez mózg do ciała. Szczególnie ten, który nakazuje mi położyć dłonie na jej biodrach, pochylić głowę i rozsmakować się w czymś, czego nie kosztowałem od ponad czterech lat. Chcę ją pocałować. Zwilżyć te spierzchnięte od mrozu wagi, ale na chceniu się skończy. To byłoby złe wydobywać na wierzch fizyczne i egoistyczne pragnienia, więc zamiast to zrobić, unoszę brew chyba pod samą linię włosów.

– „Nas”?

Marie wypuszcza z uścisku moje przedramiona i ucieka wzrokiem w bok zawstydzona. Zakłada kosmyk włosów za ucho i wraca do stolika.

Jeżu, zaraz doprowadzę do tego, że ucieknie z mieszkania z wypiekami na twarzy, a naprawdę tego nie chcę.

– Carlo myśli, że się spotkamy i o swoje idiotyczne niepowodzenie oskarża ciebie. To palant i teraz wstydę się tego, o czym ci opowiadam. Boże, normalnie zapadnę się zaraz pod ziemię.

– Niepotrzebnie – stwierdzam spokojnie, ustawiając kubki na korkowych podstawkach.

– Ale jest. Tylko oprócz wstydu czuję też chyba nienormalną satysfakcję, że on tak o nas myśli... No wiesz, że ty i ja... – Świdruje mnie oczami, stukając łyżeczką o brzeg porcelany.

– Ty i ja co? – pytam, próbując złapać z nią wzrokowy kontakt.

– Że się pieprzymy. On tylko o to może być tak chorobliwie zazdrosny, bo nie wierzę w żadne bajki, że jest zdolny do jakiegokolwiek poważnej relacji. Jest na to za głupi i zbyt... destrukcyjny dla czegoś takiego jak miłość. Pieprzenie i wciąganie kreski to dla niego synonimy szczęśliwej relacji partnerskiej, więc tak, czuję tę satysfakcję, że myśli, że mnie posuwasz, bo według jego myślenia jestem z tobą baaardzo szczęśliwa.

Zerkam na Marie, lekko się uśmiechając. Tak, mnie też to satysfakcjonuje, ale i tworzy górę problemów w infiltracji. Choć Tony mógłby sprawić, że Carlo zniknąłby mu z drogi raz na zawsze, to Chester wręcz przeciwnie. Fakt, kiedyś o tym pomyślałem – o wysłaniu Carlo z pomocą Marco na mafijny program ochrony świadków, na czystą śmierć, w razie gdyby za bardzo zaczął zachodzić Tony'emu za skórę i pieprzyć mi całą robotę. Zupełnie jak teraz. Ale to czysta fikcja. Wiem, że zadziała to odwrotnie, bo gdy tylko życie kogoś z mafiosów będzie zagrożone, zostanie on przez nas ściągnięty z ulicy. Pokręcone, niestety, ale taki nasz obowiązek ochrony życia, nawet jeśli należy ono do przestępcy. Cóż, czyli w ostatecznym rozrachunku Tony po kryjomu zapobiegnie wysłaniu Carlo przez Rodzinę na wieczne wakacje. Nie ma się więc czego obawiać i to jest dla mnie częściowo frustrujące.

Wyciskam saszetkę herbaty o brzeg kubka i odkładam na talerzyk. Upijam trzy małe łyki, obserwując Marie, gdy po tym trudnym wyznaniu w ciszy obojętnie bełta łyżeczką w herbacie.

– Marie, muszę przyznać, że jesteś bardzo bezpośrednia w rozmowie.

Podnosi na mnie bystry wzrok.

– Wiem o tym. Tobie też to przeszkadza?

– „Też”?

– Mało kto umie ze mną rozmawiać.

– Nie – zaprzeczam, ale z uśmiechem. – Nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. Lubię szczerość i nieprzebieranie w słowach. Sam często rzucam jakimś czarnym humorem do nowo poznanej osoby i jeżeli nie pokaże mi po tym środkowego palca albo nie każe popukać się

w głowę, to znaczy, że jestem w stanie się z nią dogadać i istnieje ogromna szansa, że w ciągu następnych, dajmy na to, trzydziestu minut nie zmieni zdania. Może to mądre, może i nie, ale na pewno takie skuteczne... jak by to nazwać... O! Sitko.

– Pewnie to sitko udzieliło ci się od Marco. On jest w tym mistrzem.

Opieram plecy wygodnie o krzesło, spoglądając w górę na lampę, z której nadal nie wytarłem kurzu.

– Czy ja wiem? – Cmokam i wracam spojrzeniem do Marie. – Raczej od zawsze taki byłem, ale Marco z całą pewnością nie był gościem, który pokazał mi środkowy palec, choć nie ukrywam, że czasami sam mam ochotę wystawić je w jego kierunku. – Śmieję się. – Wszystkie, nawet te u stóp. Wybacz, wiem... – Macham ręką, gdy ona reaguje głośnym chichotem. – Bzdety ci opowiadam, odchodząc od ważnego tematu. Co się między wami zdarzyło, Marie?

Wytrącam ją tym pytaniem z euforii, ale nie mogę postąpić inaczej, skoro rozmowa zaczęła obierać zupełnie inną drogę. Ta, na którą wracam, jest na pewno dużo bardziej wyboista, ale nie powinienem jej omijać, bo tylko na niej znajdę tabliczki z informacjami, które dy podążać dalej. Wchodzę uparcie na szczyt.

– Chodzi ci o mnie i o Carlo?

– Owszem, bo nie wierzę, że tak uparcie się do ciebie przypieprzył bez grama nadziei na cokolwiek z twojej strony. Też jestem facetem i znam ten mechanizm. Więc? – dociekam, choć częściowo przecież znam sytuację.

Pamiętam rozmowę jej i Carlo, którą podśluchałem na przyjęciu u Russo. Marie odrzuca go od momentu, którego jestem świadkiem, ale mam dziwne przeczucie, że za jej zachowaniem kryje się coś więcej, co miało miejsce w przeszłości.

– Byłam pijana – wyznaje, drapiąc paznokciem korkową podstawkę. – Rozochociona, rozbawiona. Zresztą... widziałeś mnie wtedy w klubie... – dodaje, krzyżując ze mną spojrzenie. – Dalej możesz się już domyślać, łatwo połączyć hasła: klub, alkohol i męska toaleta. Ale to i tak tylko jedna z kilku rzeczy, które chciałabym wymazać z przeszłości.

Wzdycha, gdy nie komentuję tej szczerzej odpowiedzi, bo skupiam się na jej brązowych oczach i ustach zwilżonych łykiem herbaty. Piękna kobieta.

– Milczysz, ale to nic, i tak wiem, co teraz o mnie myślisz.

– Tak? – Mrużę oczy, układając przedramiona na stole. – To co myślę?

Marie przechyla głowę i opiera policzek na pięści.

– Że jestem bogatą, rozpieszczoną córeczką tatusia, która w zbyt krótkiej kiece i dla dodatkowej rozrywki obciąża w kiblach złym chłopcom. Tadam! – Klaszcze w dłonie. – To jest dokładnie to, co teraz myślisz.

Strzepuję z blatu rozsypany cukier i się uśmiecham.

– Marie, muszę cię rozczarować, ale nie masz daru czytania w myślach.

– Ale chciałabym tam być.

– Gdzie?

Stuka palcem w swoją skroń.

– Tutaj, w twojej głowie. Znać twoje myśli i sekrety, bo może wtedy mogłabym ci powierzyć swoje.

Zdecydowanym ruchem ujmuję jej dłoń i przykładam do ust.

– Uwierz, że nie chciałabyś ich znać.

– Wiesz, że mi się to podoba. – Muska palcem mój zarost nad górną wargą. – To, co teraz robisz, ale niestety nie przekonasz mnie tym do zmiany zdania.

– A powinienem. Uwierz mi na słowo, że nie chciałabyś tam trafić, do mojej głowy. To jest bardzo, ale to bardzo złe miejsce. Sam boję się zapuszczać w tamte zakamarki. Tam trwa ciągła wojna, która tylko pozornie od czasu do czasu cichnie.

– Niesamowite, znam dokładnie to uczucie.

Opuszczam powieki, gdy zabiera dłoń z mojego uścisku i dotyka wiszącego na mojej szyi krzyżyka.

– Codziennie walczę ze swoim demonem, który ma konkretne imię. A z jakim walczysz ty?

Otwieram oczy i spoglądam w okno. W szybie maluje się moje niewyraźne odbicie na tle opustoszałego placu zabaw.

– Z tym najgorszym. – Spoglądam na Marie. – Z kompleksem samego siebie i świadomością ciągłego zawodu.

Po tych słowach odsuwam dłoń Marie od podsłuchu i przecieram oczy, by chwilowo uciec od przenikliwości jej spojrzenia.

Co ja wyprawiam? Przecież coś sobie obiecałem. Zero emocjonalnych angaży. Marie jest piękną i wrażliwą kobietą, ale nie mogę się poddawać uczuciom wobec niej. Jestem na służbie dwadzieścia cztery godziny na dobę i ta perspektywa powinna być jedyną, przez którą przepuszczam każde nasze spotkanie. Tony może się w niej kochać, ale ja nie mam do tego prawa.

– Tony? – Czuję ponowny dotyk dłoni Marie na nadgarstku. – Wszystko dobrze?

Zbieram się w sobie, biorę porządny wdech i odsuwam rękę od twarzy.

– Średnio, ale może po prostu zmienimy temat. – Poklepuję blat kilka razy. – Nie lubię i nie chcę o sobie mówić. Absolutnie. Szczególnie teraz, bo miałem ciężkie kilka dni.

– W porządku – oznajmia.

W jej głosie nie wyczuwam nuty rozczarowania, ale pełną akceptację dla swojej prośby. Cieszy mnie to, bo nie chciałbym, aby poczuła się niekomfortowo czy miała wrażenie, że ją odtrącam, bo nie jest to moim celem.

– No to jak? – Otwieram lodówkę, z której uderza we mnie zapach ciasta czekoladowego. – Mamy popołudnie i jesteś po zajęciach, to może masz chęć na obiad? – dodaję, widząc kątem oka, że Marie podnosi się z krzesła i po chwili staje obok mnie z wyjątkowo szyderczą miną.

– Ponoć jadasz same mrożonki, więc bardzo ci dziękuję, ale nie. – Zatrząskuje drzwi lodówki.

Daję jej pstryczka w nos.

– Dzisiaj wyjątkowo mam ochotę na świeżyznę. – Opieram się o lodówkę i krzyżuję ręce. – To co? – Śmiejąc się, sięgam po kuchenny ręcznik, który zarzucam na ramię. – Kto zmałstruje lepsze risotto? Przyjmujesz wyzwanie, Marie Gabrielle Russo?

– *Devi fare furba*, Angel!¹ – Przeciąga kciukiem przez prawy policzek od góry do dołu, jak na Włoszkę przystało.

Rozbawia mnie tym, zatem grożę jej palcem.

– Oho, znam ten gest. Ale mimo tego ostrzeżenia zaryzykuję i będę się upajał zwycięstwem.

– Twoje niedoczekanie! Pobierałam praktyki u mistrza. – Unosi z dumą podbródek. – Polegniesz na talerzu z kretesem, Tony Angel.

Spoglądam ponownie w jej oczy, przytłoczony wiedzą, której czasami wołałbym nie posiadać. Martwy Vaniero, fugu, restauracja Luciano i ona, Marie. Nadszedł moment, kiedy boję się dalej w tym grzebać.

– No to dawaj, zmierzmy się! – Zrzucam ręcznik z barku na blat, a wtedy w pokoju rozdzwania się telefon Tony’ego. – Cukinia, boczek, kurczak są w lodówce, a ryż, noże, miski w szafkach. Zaraz wrócę, odbiorę telefon. – Wskazuję palcem na wyjście z kuchni, ale Marie pochłonęło już buszowanie w lodówce.

– Jasne! – Macha dłonią. – Idź, idź! Wybiorę sobie dzięki temu najlepsze, co masz w lodówce!

Uśmiecham się, ale jest to wymuszona radość, bo domyślam się, kto do mnie dzwoni. Podchodzę do biurka jak sparaliżowany i wbijam wzrok w rozświetlony ekran, na którym widnieje nieznany numer. Przecieram dłonią kark i spoglądam w stronę kuchni. Marie, zajęta przygotowywaniem produktów, podśpiewuje coś pod nosem i nie zwraca na mnie uwagi.

Odebrać czy nie?

Drapię się w czoło. Wołałbym wrócić do Marie i gotować ryż w akompaniamencie jej anielskiego śpiewu.

No cholera! Albo mam jaja i ciągnę to dalej, albo wypieprzam, bo już się do tego nie nadaję.

Wycieram spoconą dłoń o dresy i sięgam w końcu po telefon.

– Słucham?

– Tony! Tony, słyszysz mnie?

¹*Devi fare furba* (wł.) – bądź mądrzejszy. We Włoszech popularny gest oznaczający radę i ostrzeżenie.

– Słyszę, Marco. – Kaszlę, próbując odkrztusić tę cholerną gulę, którą mam w gardle. – Ale coś strasznie trzeszczy. Możesz przejść w bardziej ustronne miejsce?

– Nie. Dzwonię z budki.

Przymykam powieki.

– Rozumiem. Co jest?

– Tony, ile razy mówiłem, żebyś nie odwalał nic za moimi plecami? Mówiłem czy nie mówiłem?

Przykucam, bo nogi zamieniły mi się w gąbkę.

– Mówiłeś... – oznajmiam, spoglądając na podsłuch dla Russo pozostawiony na biurku.

Zaciskam zęby z politowania dla własnej głupoty i odsuwam szufladę, gdzie szybko wrzucam go pod nagromadzone rachunki za prąd. W słuchawce ciągly hałas, a w brzuchu nieprzyjemne skurcze.

– Marco, pospiesz się i mów, o co chodzi, bo mam gości.

– Kto jest u ciebie?

Odwracam się, by zerknąć w głąb kuchni. Marie robi sobie wąż ze skórki cukinii i przesyła mi na dłoni buziaka. Uśmiecham się i unoszę rękę, by złapać go w powietrzu i przykleić do ust. Drobnny żart, na który zareagowałem odruchowo. Miło jest się przekonywać, że jeszcze nie jestem za stary na coś takiego.

– Jest u mnie ta, przy której zorza polarna blednie – odpowiadam.

– Więc powiedz Marie, że musisz jechać.

– Żartujesz? Mam jej powiedzieć, żeby sobie poszła? Nie ma mowy. Nie jestem chamem i nie wyrzucę kobiety z mieszkania tylko dlatego, że ty mi tak każesz. Nie zapędzasz się czasami?

– Zrozumie – mówi twardo. – Kto jak kto, ale akurat Marie zrozumie. Tony, do wszystkich złotych kurew na tym smutnym świecie, tyle razy ci mówiłem! Tyle razy! Że ja muszę o wszystkim wiedzieć, a już w szczególności, gdy dotyczy to mojej rodziny!

O jasny szlag...

– Od tego momentu masz dwa kwadranse – informuje mnie. – Potem wyjdiesz z mieszkania i pójdziesz chodnikiem w prawo. Odezwę się do ciebie.

– Nie jestem ci już raczej do niczego potrzebny, skoro już o wszystkim wiesz.

Gianna. Musiała mu powiedzieć, bo Marco zapewne nie uwierzył w poślizgnięcie się na schodach i upadek na twarz.

– Tony, ja ci coś poradzę: więcej słuchaj, a mniej mów. Jasne? Jasne. Robotę mam. Ale jakoś tak od rana męczy mnie niestrawność. Ale akurat tobie nie zaszkodzi, jak się kilka razy porządnie przy robocie porzygasz. Może wtedy bardziej utrwala ci się wszystkie moje mądrości, które ci przekazuję. *Ciao, Angel! W kontakcie.*

– Mar... – Odsuwam telefon od ucha, gdy połączenie się urywa.

Pieprzony Obi-Wan Kenobi.

Przyglądam się pustemu ekranowi z nadzieją, że Caruso ponownie zadzwoni i wyjaśni, że to był tylko żart, w dodatku wyjątkowo nieudany, ale nic takiego się nie dzieje. Moje niedoczekanie. Pochylam głowę i opieram czoło o rękę. Już czuję nadchodzące torsje, choć bladego pojęcia nie mam, do czego Marco dążył. O jakiej robocie mówił?

– Tony? Coś się stało?

Otwieram oczy i powoli przenoszę spojrzenie na Marie. Stoi obok i wyciera dłonie w kuchenny ręcznik.

Czy coś się stało? Oczywiście, że tak. Podjąłem właśnie decyzję, że za minutę po prostu rzucę się z okna. Przestaję dotrzymywać kroku rzeczywistości.

– To był Marco. Zawsze się wpieprzy, kiedy nie trzeba. – Kręcę głową i wzdycham, sygnalizując, że mi ciężko. – Dostałem konkretny rozkaz.

– Rozumiem... Będziesz musiał wyjść – oznajmia, a mnie w reakcji na wyczuwalny w jej głosie żal mocniej ściska w dołku.

Podnoszę się z kolan i nerwowo ciskam telefonem w fotel. Przytulam Marie.

– Naprawdę miałem ochotę na risotto i twoje z całą pewnością byłoby czystym niebem w gębie.

– Będzie jeszcze okazja. – Wzdycha, przylegając policzkiem do mojej klatki. – Wszedłeś do tego świata i tym samym zaakceptowałeś jego zasady. Musisz iść, Tony, im się nie odmawia.

Łzy cisną mi się do oczu jak małemu chłopcu, który musi wyjechać i zostawić najlepszego przyjaciela. Infantylnie porównanie, ale chyba najlepiej obrazuje to, co teraz odczuwam.

– Przepraszam... – Pocieram jej ramiona, jakbym chciał wykrzesać jakąś iskrę. – Bardzo, bardzo cię przepraszam.

– Nie przepraszaj. Choć przez to już rozumiem, czym tak mocno się od nich różnisz. Dałeś mi właśnie poszukiwaną odpowiedź.

– Podziel się tym ze mną. Jestem naprawdę ciekawy.

Marie zadziera głowę, pozwalając mi znów zatopić się w jej oczach.

– To ta cudowna szczerość, z jaką mówisz „przepraszam”.

Unosi rękę, a ja, znowu będąc zbyt blisko niej, pozwalam gładzić się po twarzy. Uwielbiam ten kojący dotyk i orzeźwiająco-słodki zapach aloesu.

Cudowna dziewczyna. Gdyby była choć odrobinę świadoma tego, czym tak naprawdę się od nich różnię, to nawet nieskończoność wszechświata nie pomieściłaby wszystkich szczerych „przepraszam”, które bym do niej wypowiedział. Ale mogę zrobić coś innego, coś, co będzie utrzymywać mnie w wiecznej nadziei, że te głuche myśli, które chowam do szuflady, zostaną przez nią odnalezione, bo wiem już, komu zadedykuję swoją spisaną historię.

Dla Marie. Tej, która chciała poznać moje myśli. Otwórz je. Nie mam już przed tobą żadnych tajemnic.